

Trzy okupacje Józefa Mackiewicza (1939 – 1944): „Okupacja” litewska (X 1939 – VI 1940)

Druga wojna światowa to w życiu Józefa Mackiewicza okres wyjątkowo skomplikowany. Lata spędzone kolejno pod rządami litewskimi, sowieckimi i niemieckimi, rzutowały na całe późniejsze, emigracyjne życie pisarza. Oskarżany o kolaborację – najpierw z Litwinami, później z hitlerowcami – latem 1944 roku Mackiewicz opuścił Wilno, uciekając tym samym przed nadciągającymi bolszewikami. Jak się okazało, do swego ukochanego miasta nigdy już nie dane było mu powrócić.

17 września 1939 roku, po wkroczeniu Armii Radzieckiej na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, Józef Mackiewicz uciekł z Wilna do Kowna. Jego śladem podążył również Stanisław Cat-Mackiewicz, brat Józefa, przez cały okres międzywojenny redaktor naczelny „Słowa”. W przeciwieństwie do losów Cata w Kownie, o których wiemy sporo, na temat życia i twórczości Józefa w tym czasie nie wiemy prawie nic, a przynajmniej bardzo mało. Jedynym znanym – i bardzo zresztą istotnym – faktem jest zamieszczenie 14 października 1939 roku na łamach gazety „Lietuvos Žinios” („Wiadomości Litwy”) artykułu pt. „My, Wilnianie...”. Od tej też chwili osoba dziennikarza stała się przedmiotem gwałtownych oskarżeń, które powróciły doń ze zdwojoną siłą podczas okupacji hitlerowskiej (w roku 1943), a potem na emigracji. Wspomniany artykuł był w Polsce przez całe dziesięciolecie nie znany. Nieznajomość tekstu zaś powodowała demonizowanie stawianych w nim przez autora tez. W artykule doszukiwano się dowodów jego „kolaboracji z okupantem litewskim” oraz – jak pisano – „popierania dążeń litewskich do zagarnięcia części terytorium polskiego”.

„My, Wilnianie...”

Po raz pierwszy rzeczowe informacje o tym artykule podał Piotr Łossowski w pracy „Litwa a sprawy polskie 1939-1940”, w całości zaś opublikował go jesienią 1989 (a więc dokładnie w pół wieku od daty pierwodruku) Cezary Chlebowski na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Pisał w tym artykule Mackiewicz między innymi o tym, że wojska litewskie zostaną w Wilnie powitane entuzjastycznie, krytykował polski rząd oraz jego politykę wobec mniejszości narodowych. I tylko tyle w tekście tym widzieli przeciwnicy Mackiewicza. Zdania dziennikarza często wrywali z kontekstu, zmieniając tym samym ich sens i wymowę. Potem już tylko oskarżali i napiętnowali, zapominając czasami o zachowaniu choć podstawowej przyzwoitości i dążeniu do prawdy.

Jerzy Malewski stwierdził, że „wypowiedź Józefa Mackiewicza z października 1939 r. (...) jest (...) doskonałym wprowadzeniem do jego późniejszej twórczości publicystycznej, a także – beletrystycznej” i przedrukował ów tekst, również w całości, w poświęconej Mackiewiczowi książce „Ptasznik z Wilna”. Jako że w chwili obecnej jest on już w Polsce dostępny, skupię się na najbardziej interesujących fragmentach,

mających duży wpływ na późniejszą kampanię oszczerstw wobec Mackiewicza. Kogo interesuje całość, odsyłam do „Tygodnika Powszechnego” lub pracy Malewskiego.

Tekst „My, Wilnianie...” ukazał się z podtytułem: „Artykuł dziennikarza z Wilna, współpracownika dziennika Słowo, Józefa Mickiewicza” i następującym odredakcyjnym, litewskim wstępem: „Wśród społeczności Litwy panują różne zdania na temat Polaków i ich niedoli. Te zdania są dosyć różne. Sami Polacy, jak się słyszy, swój i swego Państwa los, rozpatrują w różnoraki sposób i różnie oceniają te warunki i te przyczyny, które Polskę doprowadziły do katastrofy. Niżej przedstawiamy artykuł, niejasny i nie przedstawiający jeszcze jakiegoś wyraźniejszego wytłumaczenia, napisany przez dziennikarza z Wilna, pisarza i redaktora, Juozasa Mackiewiciusa [Józefa Mackiewicza], rzuca smugę światła na ogół tych zadań. Artykuł ten, jak myślimy, posłuży do wyjaśnienia również i naszych stosunków z Wilnem. Dla lepszego zrozumienia jego intencji warto zauważyć, że artykuł, jak wypływa z jego tonu, napisany jest naprawdę krwią płynącą z serca, które przeżyło wielką tragedię. Red.”.

Sanacja pod prężerem

Jak widać, bardziej współczuli Mackiewiczowi i lepiej intencje dziennikarza zrozumieli Litwini (przez wiele lat wrodzy Polsce), aniżeli jego rodacy. Trudno się jednak Polakom wtedy dziwić. Artykuł – w dużym stopniu piętnujący przedwrześniową Polskę – ukazał się zaledwie w parę dni po złożeniu broni przez żołnierzy Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” pod Kockiem i obrońców Helu. Rany były jeszcze świeże, krwawiące. Mackiewicz natomiast, choć pisał prawdę (co do tego wątpliwości mieć raczej nie można), rozdrapywał je jeszcze bardziej. „Czasy romantyzmu w stosunkach politycznych należą do przeszłości, nawet pośród tych zwolenników, którzy szukali jego śladów na drogach Polski i Litwy. Bądźmy otwarci i powiedzmy sobie, że Wilno nie stanowi tego ideału miasta, którego obraz pragnęlibyśmy nosić w swoim sercu, my wszyscy, którzy je kochamy” – przyznawał z goryczą, wypominając dalej swemu ukochanemu miastu, że za każdym razem, gdy wkraczała doń któraś ze zwycięskich armii (w latach 1915-1919), zawsze jedna z zamieszkujących je narodowości wychodziła na ulice, by witać ją kwiatami.

Jesienią 1939 roku sytuacja przedstawiała się jednak zupełnie inaczej. „Warunki ułożyły się tak nieoczekiwanie – pisał Mackiewicz – że jak się wydaje, w historii Wilna nastąpił moment niebywałej wagi, jakiego dotychczas nie było. Moment wart podkreślenia jako owoc historycznego losu. Moment na tyle charakterystyczny, że szkoda go było przemilczeć, uznawszy za przejaw politycznej banalności. Bo tu nie chodzi o manifestację, patriotyczną wypowiedź, nie o fanfaronadę, a o fakt: tak radośnie i jednolicie przez wszystkich mieszkańców, niezależnie od tego, czy byliby to Polacy czy Litwini – nie było witane żadne inne wojsko, jak dzisiaj... będzie witane w Wilnie wojsko Litwy”. Kontekst tych słów był oczywisty – radość z opuszczenia Wilna przez wojska sowieckie. Fakt ten oraz przejście zwierzchności nad miastem przez Republikę Kowieńską był dla Mackiewicza cudem, za który powinno się długo dziękować Bogu. Postawiony wobec dylematu: czy chce mieszkać w Wilnie rządzonej przez Sowieców, czy Litwinów? – nie miał Mackiewicz najmniejszych wątpliwości. I wątpliwości tych nie miała zapewne większa część ludności polskiej zamieszkującej miasto. Można więc uznać, że Mackiewicz pisał także w jej imieniu.

«Ptasznik z Wilna»

W artykule poddał także krytyce politykę rządu polskiego wobec mniejszości narodowych na Kresach. Przebija ona ze słów: „Gdy dzisiaj myślę, że naturalny zewnętrzny sojusznik Polski w jej państwowych aspiracjach na wschodzie – Ukraińcy, burżuazyjno-nacjonalistyczny grecko-katolicki naród był najbardziej antykomunistycznym z racji swojej struktury socjalnej, bardziej niż prawdziwi Polacy w samym sercu Polski, i że ten antykomunistyczny element zamiast pomóc Polsce, sam strzelał do polskich żołnierzy... zastanawiające, że władza Polski mogła popełnić tak ogromne błędy. Aż do krwi chciało się gryźć palce, do krwi, w której zanurzona jest dzisiaj cała Polska”. Na temat przyszłych (powojennych) stosunków polsko-litewskich miał do powiedzenia: „W każdym bądź razie nie może powtórzyć się fatalny błąd marszałka Piłsudskiego tworzenia fikcyjnego wielkiego państwa (mocarstwowość), gdzie geopolityczne warunki nawiązują do realnej państwowości. (...) Opowiedzmy się lepiej o wspólnocie interesów [z Litwinami], ponieważ moim zdaniem, ta wspólnota interesów wypływa i będzie wypływać z geopolitycznych warunków potężnych bloków wschodu i zachodu. Miast tego, by tę wspólnotę uzupełnić i podnieść do poziomu siły, która występowała w czasach Witolda i mogła stawić czoło wrogowi, użyto przeciw niej panów Bociąskich i Berezy panów Kostków (...)”.

Zakończył zaś słowami: „Gdyby ktoś mi teraz powiedział, że piszę paszkwil przeciw Polsce, odpowiedziałbym mu, że piszę nie tylko skrwawionym sercem, lecz i w głębokim przekonaniu. Obowiązkiem polskiego dziennikarza, głęboko przekonanego dzisiaj, jest wskazanie palcem tych metod, które doprowadziły do niesłychanego w historii kraju upadku. A to dlatego, żeby napiętnowanie za ten upadek nie zostało skierowane przeciw całej narodowości polskiej, a tylko przeciw tym, którzy go przygotowali”. Smutny koniec. Być może, aby nie dolewać oliwy do ognia, nie napisał Mackiewicz wprost, kogo ma na myśli, kogo za ten upadek obwinia. Zrobił to za niego Cat – już na emigracji – kierując swą krytykę personalnie pod adresem premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, naczelnego wodza Edwarda Rydza-Śmigłego i ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Jak sądzę, Józef Mackiewicz miał na myśli te same osoby.

Nadzieje na Księstwo

Można by zadać pytanie: Skąd to nagle prolitewskie nastawienie Mackiewicza? I odpowiedzieć: wcale nie takie nagłe. Zmiana w jego poglądach na Litwę i rząd w Kownie nastąpiła już rok wcześniej, jesienią 1938, po przyjęciu przez Kowno polskiego ultimatum. Po tym wydarzeniu trudno już znaleźć w „Słowie” choćby jeden artykuł Mackiewicza piętnujący Litwinów lub obrzucający ich niewybrednymi inwektywami (co wcześniej mu się zdarzało i to dość często). Klęska w wojnie obronnej 1939 roku była dla Mackiewicza niejako potwierdzeniem własnych poglądów na przedwrześniowe rządy, ugruntowała go w nich, pozbawiła reszty złudzeń, odarła z mitów i legend. Jediną drogą w zaistniałej tragicznej sytuacji mógł być teraz tylko polityczny realizm. Ten realizm zaś nakazywał poprzeć Litwinów przeciwko Związkowi Radzieckiemu i Niemcom. To przecież Litwini – zdaniem publicysty – „ratowali” Polaków przed sowiecką okupacją, winni są więc im oni także głęboką wdzięczność.

Niewielu polskich polityków myślało wówczas w podobny sposób. Mackiewicz dostrzegł, ostatnią już chyba, szansę na odbudowę – w szczątkowej chociażby formie terytorialnej, ale całkowitej duchowej i moralnej – Wielkiego Księstwa Litewskiego i rozpoczął w tym celu szeroką akcję propagandową. Jednak, jak się bardzo szybko okazało, w złym czasie i w złym miejscu. Litwini, którzy z początku odnosili się do Polaków nawet przyjaźnie, natychmiast przeszli do ofensywy, dając wyraz – ukrywanym przez całe międzywojnie – kompleksom wobec silniejszego, a dzisiaj pokonanego, leżącego na kolanach i w nich widzącego zbawiciela – sąsiada.

Pisząc po latach, wspominając tamte jesienne dni, nie ukrywał Mackiewicz swoich sympatii: „W konflikcie polsko-niemieckim Litwa stanęła uczuciowo po stronie Polski. Politycznie zachowała neutralność. Natomiast zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w wypadku niepowodzenia Niemiec wystąpiłaby otwarcie po stronie Polski i sojuszników, aby odebrać zagrabioną jej przez Hitlera Kłajpedę”. Mimo dużego stopnia prawdopodobieństwa, jest to jednak „gdybanie”; historycy zaś zajmować powinni się tylko faktami. Wróćmy do wspomnień Mackiewicza: „17 września 1939, z chwilą zdradzieckiej napaści Związku Sowieckiego na Polskę – pisał on – stanowisko Litwy nie uległo zmianie, a raczej powiedzieć można, przybrało formy rycerskości rzadko spotykanej w stosunkach politycznych między państwami. Zarówno oddziały polskie jak ludność cywilna, uciekająca na terytorium Litwy, przyjęte zostały gościnnie, mimo tylu lat wzajemnych niesnasek. Z trzech państw bałtyckich – dodawał Mackiewicz – jedyna tylko Litwa nie wypowiedziała pobytu gości polskiemu, uznając w dalszym ciągu istnienie suwerennej Polski”. Być może to właśnie gościnne przyjęcie, pomoc ofiarowana uchodźcom z Wileńszczyzny, skłoniły Mackiewicza do napisania artykułu „My, Wilnianie...”. Wyrażone w nim poglądy pisarza okazały się jednak tylko złudzeniem. Rząd kowieński wcale nie miał ochoty na kontynuowanie idei, którą przed laty odrzucił Piłsudski i wszyscy jego następcy. Mackiewicz szybko to zrozumiał, rozczarowując się wielce.

„My czekać nie mamy czasu”

Po 1 października 1939 roku Związek Radziecki zmusił Litwę do zawarcia „paktu przyjaźni”, jednocześnie – zdaniem Mackiewicza – wciskając jej gwałtem Wilno, którego teraz, w takich okolicznościach, ona nie chciała. Absurd? Raczej rozsądek. Wiedział bowiem, a na pewno mógł przypuszczać prezydent Antanas Smetona, że pakt z Sowietami w rzeczywistości pozbawi Litwę suwerenności i podda kraj pod protektorat Moskwy. Na pomoc Berlina nie można już było liczyć, ponieważ na mocy traktatu Ribbentrop-Mołotow Hitler oddał państwa bałtyckie Stalinowi. Chcąc nie chcąc, Litwa uległa i Wilno zajęła. Wydarzenie to miało miejsce 28 października 1939 roku (w dwa tygodnie po tym jak Mackiewicz napisał: „tak radośnie i jednolicie przez wszystkich mieszkańców (...) będzie witane w Wilnie wojsko Litwy”). Zapewne wkrótce potem także Mackiewicz powrócił z Kowna. Od razu po powrocie przystąpił do starań o uzyskanie zgody na wydawanie w Wilnie pisma w języku polskim. Trwało to długo, ponieważ działania podejmowane przez byłego dziennikarza „Słowa” blokowane były zarówno przez Litwinów, jak i Polaków.

Plan Wilna z 1920 roku
© www.szukamypolski.com/gap

Plan Wilna z 1920 roku

Piotr Łossowski, jeden z największych znawców stosunków polsko-litewskich w okresie dwudziestolecia, napisał w tej sprawie: „Ludzie zamierzający wydawać „Gazetę Codzienną”, mimo swego lojalizmu, musieli czekać niemal cały miesiąc zanim władze wyraziły zgodę na druk dziennika (pierwszy numer „Gazety” ukazał się dopiero 25 listopada 1939 roku)”. „Kurier Wileński”, drugie polskie pismo w Wilnie, ukazywał się już od 2 listopada. I chociaż stał w jawnej opozycji do „lojalistycznej” i prolitewskiej „Gazety Codziennej”, uzyskał zgodę aż trzy tygodnie wcześniej. Sprawa jest o tyle ciekawa, że po wojnie zarzucano Mackiewiczowi, że to jego pismo było „urzędówką” – czy też wręcz „gadzinówką” – litewską, a zgodę na jego wydawanie uzyskał tylko poprzez swoje „układy” z Litwinami. Fakty przeczą jednak temu twierdzeniu.

Pierwszy numer „Gazety Codziennej”, wydawcą której był Bolesław Szyszkowski, zaś redaktorem Józef Mackiewicz, ukazał się 25 listopada 1939 roku. Nakład był znaczny. Jak pisał Łossowski, wiosną 1940 roku osiągnął 10 tysięcy egzemplarzy i wykazywał tendencję wzrostową. Od razu pismo popadło też w konflikt z „Kurierem Wileńskim” („gazetą polską – z ducha”). Już w pierwszych tygodniach „Gazeta” zaczęła lansować program polityczny i społeczny, który sprowadzał się do wykorzystania szansy, jaką przed społeczeństwem Wilna stawiało nieoczekiwane opuszczenie miasta przez bolszewików. W artykule wstępnym do numeru pierwszego Mackiewicz napisał: „W dniu 28 października wkroczyły do Wilna wojska litewskie i wycofały się wojska sowieckie. Ani dziś miejsca, ani zamiaru nie mamy poruszać głębi problemu wileńskiego, jest on pełen ran, złej krwi, miłości i rozmów, ten stary, kochany kłębek strzelający z doliny wieżycami świątyń ku niebu. Ale chyba dzieci tylko zrozumieć tego nie mogą, iż w chwili obecnej dawna Sprawa Wilna przeistoczyła się z problemu w dylemat. Prosty i surowy: albo SSSR, albo Litwa”. Dodawał także: „Nie dla nas hasło: wyczekiwać, przemilczeć, przeczekać. Niech ono zostanie słusznym hasłem dla tych, dla których Wilno jest miejscem chwilowego postoju czy schronienia na rozdrożu. My czekać nie mamy czasu”.

Bitý przez obie strony...

Mackiewicz rozumował następująco: Wilno nie jest już polskie, to prawda, ale nie ma powodu, by rozpaczać; należy cieszyć się raczej, że nie znalazło się ono pod rządami bolszewików czy hitlerowców. Ratować więc powinniśmy z dawnej Rzeczypospolitej, co tylko się da. Tymczasem większość Polaków uznała, że Wilno znalazło się po prostu pod litewską okupacją, zaś każda forma i próba „dogadania się” z okupantem oznaczała najzwyczajszą zdradę narodową. Mackiewicz, ich zdaniem, właśnie na tę drogę wkroczył. Poczynania władz litewskich stawiały go w coraz trudniejszej sytuacji – i wobec Litwinów, i wobec rodaków. Na coraz gwałtowniejszy (i bezsensowny) nacjonalizm Republiki Litewskiej, Polacy również odpowiedzieli falą nastrojów nacjonalistycznych. Zaś pośrodku – między obydwojma nacjonalizmami – stała „Gazeta Codzienna” i jej redaktor naczelny Józef Mackiewicz, wrogi (z zasady) wszelkim nacjonalizmom. „Mackiewicz wykazywał talent do takiego ustawiania się, żeby być bitym przez obie strony. Miało się to powtórzyć później” – napisał po wielu latach Czesław Miłosz, jeden ze współpracowników „Gazety Codziennej”.

Programem politycznym otwarcie głoszonym na łamach „Gazety” była tzw. „idea krajowa”. W pierwszych numerach wykladał ją Ludwik Chomiński: „Kraj nasz to ziemie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego – pisał – to tradycja ludów, które niegdyś w Wilnie miały swą stolicę – to amalgamat wsi litewskiej, polskiej, białoruskiej, przemieszany z Żydami, Tatarami, Karaimami, Starowiercami. To kraj szeroki, mający ośrodek w naszym Wilnie, jak w soczewce skupiającym ideę i myśl ześrodkowującą dążenia krajów stąd rządzonych”. W drugiej części tego artykułu Chomiński dodawał: „My krajowcy, wyznawcy idei całości kraju, a nie jego części, pozostawaliśmy niezrozumiali, ośmieszeni, odsunięci... Wierzymy, że z tego cudownego Wilna utworzymy pomost zgody dla wszystkich krajowych narodów: Polaków, Litwinów, Białorusinów, Żydów – a nie jabłko niezgody”. (Ci „krajowcy” zaś – według Chomińskiego – to „ci, co ukochanie oraz interes kraju w pierwszym rzędzie podkreślają”).

Koncepcję Chomińskiego rozszerzył niebawem na łamach „Gazety” Michał Romer, pisząc: „(...) istotą kierunku krajowego jest to, że koncepcja kresowej Litwy przeciwstawia dośrodkową koncepcję Litwy, jako kraju mającego osobowość polityczną własną i odmienną w społeczności ludzkiej świata. Koncepcja kresowa nie wyklucza oczywiście miłości tego kraju ani sentymentu dla jego wielkiej i ciekawej przeszłości dziejowej, nie wyklucza nawet regionalizmu, ale wyklucza żywą społeczną osobowość polityczną kraju, zwróconą w przyszłość. Koncepcja kresowa traktuje ten kraj, to znaczy Litwę, jako dla jednych mniej, dla innych bardziej kosztowny i piękny oraz ukochany aneks regionalny, przyczepiony do ośrodka (metropolii) którejś z ziem sąsiednich, ukonstytuowanych w osobowość polityczną. Dla jednych byłyby to kresy zachodnie, dla innych – wschodnie. O ile chodzi o koncepcję kresową Polaków wileńskich – to kresy te są oczywiście wschodnie. Tę koncepcję kresową koncepcja tzw. krajowa kategorycznie zaprzecza i odrzuca”.

Parę lat później sam Mackiewicz pisał na ten temat następująco: „Ludwik Abramowicz zmarł w przededniu II wojny światowej. Podjąłem próbę kontynuacji jego ideologii, zdając sobie całkowicie sprawę, że podejmuję ją niejako prywatnie, bez należącego (jak to się mówi) autorytetu, bez (jak to się mówi) poparcia szerszych warstw społeczeństwa, bez pieniędzy, prawie bez towarzyszy broni. Jedyne [Teodor] Bujnicki wydawał mi się wtedy zwolennikiem szczerym. Myślę jednak, że zarówno w życiu jednostki, jak i zbiorowisk ludzkich, ważny jest nie tylko cel idealny, gdyż ideałów nigdy się nie osiąga, a idealny kierunek, w jakim się dąży. Jesienią roku 1939 założyłem pismo pt. „Gazeta Codzienna” w Wilnie”. Dalej dodawał: „(...) żyć i dać żyć miało być programem polityki wewnętrznej reprezentowanym przez „Gazetę Codzienną”. Zresztą przyznam, że nie znam lepszej ewangelii wewnętrznego życia politycznego, jak „Leben und leben lassen”. Na razie chodziło więc o to, by każdy mógł mówić i pisać w swoim języku i by nikt nie rzucał kamieniami w okna budynku tylko dlatego, że jest kościołem katolickim, cerkwią prawosławną, synagogą żydowską, meczetem muzułmańskim czy kenessą karaibską”. [Na marginesie: Karaimi są pochodzenia tureckiego, na Litwę trafili w końcu XIV wieku, sprowadzeni przez wielkiego księcia Witolda.]

Wobec nacjonalizmu litewskiego

Jak wynika z przytoczonych wyżej cytatów, sens „idei krajowej” – propagowanej na łamach „Gazety Codziennej” – wymierzony był przede wszystkim przeciwko wszelkim nacjonalizmom. Koncepcja „kraju” uważała bowiem sprawę granic i stanu posiadania danego narodu czy państwa w tym przypadku za drugorzędną, zdecydowanie mniej ważną. Granice te stawały się przeto tworem sztucznym, administracyjnym podziałem pierwotnego terytorium; mieli tu krajowcy na myśli także ostatnie granice Republiki Litewskiej. Idea ta – napisał Jerzy Malewski – „była nie do przyjęcia dla Polaków, którzy widzieli w niej jedynie zakamuflowaną zgodę na unicestwienie Rzeczypospolitej. Była także nie do przyjęcia dla Litwinów, którzy podejrzewali w niej z kolei zamach na aktualny stan posiadania Republiki Litewskiej. Mówiąc po prostu, idea krajowa wywracała tradycyjne rozumienie związku narodu z państwem”. Pojawiła się więc w momencie najmniej fortunnym. Wydawała się być jedynie mrzonką, utopią, głoszącą sielankę i szczęśliwe życie, podczas gdy na południowym-zachodzie, w podbitej Polsce, rozszalał się terror hitlerowski, zaś na wschodzie Stalin gotował się do wojny z Finlandią i podboju państw bałtyckich. Ideały były, owszem, piękne, ale niemożliwe do zrealizowania – z uwagi na sytuację zewnętrzną, jak i wewnętrzną. „Idei krajowej” nie popierali przecież ani Litwini, ani większość Polaków. Mackiewicz, trzeba powiedzieć jasno, był wyjątkiem i nawet wśród własnych współpracowników – jak wydawało mu się po latach – nie miał samych szczerych przyjaciół.

Mackiewicz nie był jednak ślepy, zdawał sobie sprawę z nasilającego się i wzrastającego nacjonalizmu litewskiego, który całą jego ideę przemieniał w bezużyteczną, niepotrzebną, aż wreszcie – jawnie wrogą. „Litwa była ongiś ogromnym i potężnym państwem – pisał. – A Wilno w rządzie pierwszych stolic Europy. Wypadki dziejowe, poprzez blaski zwycięskich książąt i królów, i hetmanów, doprowadziły ją w cień wewnętrznego rozkładu, upadku, a następnie odrodzenia w granicach etnograficznej, nacjonalistycznej Republiki”. Dalej dodawał: „(...) nie mogę się pogodzić z tym odłamem, zwłaszcza wśród młodego pokolenia społeczeństwa litewskiego, który za absolutny ideał politycznej Litwy traktuje jednojęzyczną zwartość, a stawia ten ideał ponad wszelkie inne, a raczej odrzuca te – inne”. Postępowanie władz litewskich przypomniało Mackiewiczowi działania Mustafy Kemal-Paszy, młodotureckiego władcy, który poprzez swoje reformy i swój nacjonalizm doprowadził w latach 20. do upadku mocarstwowości Turcji, uczynił z niej małą, nacjonalistyczną republikę. Z Litwą jest, zdaniem Mackiewicza, podobnie. „Nie dlatego przeciwstawiam koncepcję wielkiej Litwy – pisał w dalszym ciągu – koncepcjom Litwy małej, żebym dziś dostrzegł realne możliwości jej rozszerzenia ku politycznej wielkości, a dlatego, że zadziwia mnie często nasilenie niechęci do wszystkiego, co z tą wielkością było związane. Zarówno do ruskiego charakteru Litwy po Witoldowej, jak do niektórych fragmentów historii, do jej wielkich sojuszów, różnojęzyczności, wewnętrznej struktury denacjonalnej, niechęć do słów takich, jak mocarstwo albo od morza do morza (to właśnie była Litwa!), które są wyszydzane, a stanowiły o zupełnie odmiennej racji stanu, której symbolicznym kwiatem stało się Wilno jako stolica”.

Rozrachunek z przeszłością

Wilno – widok ogólny, w oddali wieża Gedymina

© www.szukamypolski.com/gap

Wilno – widok ogólny, w oddali wieża Gedymina

Opozycyjny zarówno do Litwinów, jak i krajowców „Kurier Wileński” przyjmował artykuły drukowane w „Gazecie” zdecydowanie wrogo. Było to bowiem pismo, które stało się „głosem polskiej ortodoksji, wyznawanej przez większość polskiego społeczeństwa: dla niej przynależność Wilna do Litwy była po prostu litewską okupacją”. Miał więc Mackiewicz przeciwko sobie tę „większą część polskiego społeczeństwa”. Nastawił ją wrogo wobec własnej osoby nie tylko poprzez propagowanie „idei krajowej”. O wiele gorzej odbierane były w społeczeństwie refleksje nad przyczynami klęski wrześniowej, które pojawiały się w „Gazecie” jesienią 1939 roku wielokrotnie. Janusz Minkiewicz robił gorzki obrachunek z polskim dowództwem uchodzącym za granicę, a także z całym politycznym establishmentem, który nie sprawdził się, jego zdaniem, podczas wrześniowej próby. Jeszcze ostrzejsze słowa pod adresem przedwrześniowych władz posyłał Konstanty Szychowski. Nie milczał też sam Mackiewicz. Na krytyczne polemiki zamieszczane w „Kurierze Wileńskim” odpowiadał: „Dlatego w oczy tym wszystkim, którzy po stronie nie szargać, wysuwają główny argument, co o tym obcy powiedzą!, odpowiedzieć możemy, iż jest to argument najgłupszy z liczby możliwych. (...) Otóż obowiązkiem każdego myślącego człowieka jest zastanawianie się nad przyczynami zjawisk, czy wydobywanie prawdy przez oddzielenie ziarna od plew, a nie mieszanie wszystkiego w jeden bezmyślny korzec. I to nie tylko Polaka, ponieważ tu o Polskę chodzi, ale każdego inteligentnego Litwina, Rosjanina, Rumuna itd., który chciałby naprawdę wiedzieć, dlaczego stało się tak, a nie inaczej. – Tylko właśnie w tym wydobywaniu prawdy na wierzch, w tym wskazaniu na istotę przyczyny najbardziej pomocny może być naród zainteresowany, który swej żywotności i potencji dowodzi nie wtedy, gdy się solidaryzuje z twórcami własnej klęski, a ich wytyka palcem, od nich się odżegnuje i – przeklina. Im bardziej głośno, im bardziej publicznie, tym z większą korzyścią dla własnej propagandy”. Tymi osobami, od których Mackiewicz chciał się odżegnać, byli przede wszystkim przedstawiciele ostatniego rządu II Rzeczypospolitej i Naczelnny Wódz armii.

Jeśli chodzi o ocenę klęski wrześniowej, „Gazeta Codzienna” „reprezentowała kierunek demaskatorski”. „Kurier Wileński” zaś bronił stanowiska, że nie jest to czas ani miejsce na publiczne rozdrapywanie ran. Replikował też ostro na szkalujące wypowiedzi „Gazety”. Artykuł Mackiewicza poświęcony śmierci pisarza Tadeusza Dołęgi-Mostowicza określony został jako paszkwil „opublikowany w chwili, kiedy nie pora na obnażanie ran wzorem żebraków, żebrzących jałmużny lub dziewczek, urągających swym bezwstydem, lecz gdy serce zranione uzbroić należy w puklerz przetrwania i wytrwania. – Nie znaczy to bynajmniej, aby osad brudu miał pozostać w duszy polskiej, a nieznani sprawcy nie zostali przykładowo ukarani – dodawano dalej. – Wypierzemy kiedyś te brudy, ale we własnej pralni, a sąd będzie należał do Sądu”. Trudno nie przyznać racji tym argumentom. Ale i druga strona ją miała. Mackiewicz zawsze wzdrygał się na stwierdzenie, że o czymś nie należy głośno mówić; zazwyczaj czynił wówczas na przekór – mówił głośno, krzyczał, piętnował. Czasami jednak, jak robili to jego oponenty, należało przemilczeć. Traktowano go więc często jedynie jako „niefortunego i samozwańczego kontynuatora tradycji Cata” oraz historyka. „P. Józef Mackiewicz od dawna posługiwał się w publicystyce stylem Mniszkówny – pisano w nieprzychylnych mu publikacjach. – Od czasu zaś, jak go wypadki zmusiły do przespacerowania się w błotną pogodę jesienią z Wilna do Kowna (jeden dzień

forsownego marszu z ostatniej wojny), ani na chwilę nie może wypaść z tonu płaczki wynajętej na pogrzeb bogatego sąsiada. – P. Józef Mackiewicz jest dzieckiem szczęścia w porównaniu z tymi, którzy postawili wszystko na jedną kartę i wszystko stracili, którzy przeszli piekło walki, hańbę niewoli i nędzę tułaczki. Takich nie brak i wśród jego kolegów. Mimo to nerwy trzymają na wodzy”.

Nie zapomnieli też Mackiewiczowi, kim był i jakie stanowisko zajmował przed wojną. „Dawniej był współpracownikiem pisma swego brata Stanisława, służącego reżimowi pomajowemu w Polsce wówczas, kiedy zakładano jego fundamenty. Potem był współpracownikiem tego pisma, gdy stało się ono supernarodowe i antyrządowe. Dziś już jako krajowiec – wykorzystuje każdą okazję, aby walić w pamięć niedawnej przeszłości polskiej, choć tragicznej, ale dla wielu Polaków drogiej. W ten sposób usiłuje zrzucić z siebie część odpowiedzialności, którą wszyscy w mniejszym lub większym stopniu ponosimy i od której nie powinniśmy uchylić się”. Zgoda, był Mackiewicz dziennikarzem „reżimowego” „Słowa”, ale „reżimowego” jedynie do roku 1935. Później przecież także pozostawał w składzie redakcji, gdy gazeta stała się „antyrządowa”. Nigdy jednak nie było „Słowo” „supernarodowe”. To już insynuacja. Nieprawdziwe było również stwierdzenie, że Mackiewicz służył temu „reżimowi”. Jego przedwojenna publicystyka przeczy temu w całej okazałości. „Krajowcem” także był od lat; nie został nim – jak próbował o tym przekonać swoich czytelników dziennikarz „Kuriera” – jesienią roku 1939.

Obrona Miłosza

Nieco jasności wnoszą tutaj wspomnienia Miłosza, wyważone, wolne od emocji, biorące pod uwagę racje obu stron, w dużym stopniu obiektywne. O Mackiewiczzu pisał: „Niemniej wyłamywał się. Bardzo silnie naznaczony przez rosyjskie gimnazjum i przez swoje, w szkolnych latach, fanatyczne zainteresowanie książkami z zakresu zoologii i ornitologii (w czym byliśmy podobni), z wykształcenia i z nawyków obserwacji był przyrodnikiem. Może ta jakby pozytywistyczna zaprawa wyrobiła w nim sceptycyzm co do „polskiego Wilna”. Naraził się temu Wilnu od pierwszych numerów „Gazety Codziennej”, ogłaszając artykuły, w których rozpacz i gniew z powodu wrześniowej klęski wyładowały się we wściekłych atakach na całą Polskę międzywojenną, tak że nie zostawiał na niej suchej nitki. Nie lubił Piłsudskiego ani sanacji (choć pracował przecie w sanacyjnym „Słowie”), ale żeby znaleźć teraz współpracownika w osobie Piotra Kownackiego, „narodowca”, i razem z nim rządy „pułkowników” wyszydzać, choć przecie nic go poza tym z Kownackim nie łączyło, to już było dużo. Wyglądało to na znęcanie się nad powaloną Polską, żeby przypodobać się litewskim gospodarzom. Bez ustanku masakrowana przez cenzurę i oskarżana przez Litwinów o tendencje wywrotowe (bo co to za podstępne gadanie o Wielkim Księstwie?), „Gazeta Codzienna” dała początek potępieńczym swarom, w których niejawnym przeciwko niej argumentem była „kolaboracja z okupantem”. (...) Niewątpliwie, uczucia gniewu i goryczy po klęsce były powszechne i dawał im wyraz z samego zgryzu, nie żeby się komuś przypodobać. Ale większość, choć tak samo czuła, powściągała się, bo jakoś nieładnie prac brudną białizną w tak smutnej chwili”.

Czesław Miłosz w studio BBC
© www.bbc.co.uk

Czesław Miłosz w studio BBC

Miał rację Miłosz, takie wrażenie było można odnieść i większość Polaków je odnosiła. Konflikt między Mackiewiczem a jego późniejszymi adwersarzami (z okresu okupacji niemieckiej) tu właśnie miał swój początek. Chmury nad głową Mackiewicza gromadzić się zaczęły jesienią już 1939 roku.

Jak widać, żywot redaktora naczelnego „Gazety Codziennej” nie był wcale łatwy. Lecz mimo swoich kontrowersyjnych poglądów, które nie cieszyły się popularnością w polskim społeczeństwie, udało się Mackiewiczowi skompletować spory zespół redakcyjny, w którym nie zabrakło nazwisk znanych i uznanych. „Jako przyczynek dziś już historyczny – pisał Mackiewicz w roku 1954 – chciałbym wymienić listę zarówno stałych współpracowników „Gazety Codziennej”, jak i piszących do niej dorywczo. Cytuję w kolejności, jak przychodzą na pamięć: prof. Zygmunt Jundziłł, Ludwik Chomiński, prof. Jan Otrębski, prof. Mieczysław Limanowski, prof. konserwatorium Michał Józefowicz, Franciszek Hryniewicz, dr Odyniec, Bolesław Skirmuntt, Michał K. Pawlikowski, Barbara Toporska, Konstanty Szychowski, prof. Michał Romer, kowieński korespondent ryskiego Siegodnia i nasz, Boris Osieczkin, Fryderyk Łęski, Władysław Łepkowski, Kazimierz Luboński, Bohdan Mackiewicz, Władysław Abramowicz, Euzebiusz Łopaciński, Waclaw Studnicki, Piotr Kownacki, Kazimierz Hałaburda, adw. Szyszkowski, Jakub Kowarski, Leszek Bartkiewicz, Światopełk Karpiński, Janusz Minkiewicz, Romuald Węcłowicz, prof. Hurynowiczówna; z dzienniakrzy warszawskich Liński, Kaffel i jeszcze kilku, których nie pamiętam. Błysnął raz nawet W.[acław] A.[Ifred] Zbyszewski piórem z Londynu. Wreszcie Czesław Miłosz i wtedy również świetny, którego jeden z artykułów sprowadził nam na dobitkę pogróżki rozbitków Oeneru. No i – Teodor Bujnicki, zastępca naczelnego redaktora”. Skład był przypadkowy i większość piszących nie musiała wcale podzielać poglądów Mackiewicza, a jednak nikt z wyżej wymienionych nie wstydził się drukować swoich tekstów w sygnowanej przez niego gazecie.

Boje z cenzurą

Wielokrotnie Mackiewicz skarżył się na cenzurę litewską, która bezlitośnie okrawała pismo. „Najgorzej było z prasą – pisał po wojnie na emigracji. – Według ustaw litewskich każde pismo musiało zamieszczać tzw. privalymas, artykuły obowiązkowe. W praktyce oznaczano miejsce, czcionki, tytuł i podpis. Przysyłano artykuły głoszące tezy odwrotne do kierunku pisma. Nie wolno było zaznaczać, że nie są to artykuły redakcyjne. System ten stosowano zwłaszcza do prasy polskiej. Cenzura czyniła spustoszenia. W tych warunkach co tępsi czytelnicy przestali w ogóle orientować się w politycznym zabarwieniu gazety”. Parę lat później dodawał: „(...) „Gazeta Codzienna” stała się szczególnym obiektem prześladowań ze strony urzędu prasowego, przy jednoczesnej ostrej nagonce ze strony tego odłamu społeczeństwa polskiego, które trafnie scharakteryzował Miłosz jako skupiający się wokół hasła: nie oddamy ani guzika. Obydwa te przeciwstawne sobie czynniki, okazały się w praktyce również zacięte, co tępe. (...) To trochę, co z przejawów sentymentu do Wielkiego Księstwa Litewskiego przepuściła cenzura, zwęszono po stronie polskiej jako tendencje ugodowe względem Litwy. Natomiast władze tej Litwy oświadczyły mi, co następuje: – Musi pan w gruncie rzeczy być wdzięczny cenzurze. Bo gdyby publicznie

piisał pan to, co mówi, już powinien pan siedzieć w więzieniu za robotę antypaństwową. (...) Dlatego, że żądaniem pana jest obalenie ustroju istniejącej Republiki Litewskiej. A właściwie w ogóle jej unicestwienie drogą włączenia jako prowincji do jakiegoś zupełnie obcego tworu państwowego. Niezależnie od tego, czy chce go pan nazwać Wielkim Księstwem Litewskim, Ruskim czy Chińskim. Litwa jest tylko jedna, ta mianowicie, która jest. I przeciwko tej Litwie pan konspiruje". Litwini nie chcieli lojalistycznej „Gazety Codziennej”, nie pretendowali do sukcesji po Wielkim Księstwie Litewskim. Inna sprawa, że zagrożeni sąsiednim imperializmem, na sukcesję tę nie mieli szans.

Cenzura natomiast naprawdę okazywała się drakońska i bezsensowna jednocześnie. W czasie wojny fińsko-radzieckiej rząd litewski, mimo że zajmował stanowisko mniej lub bardziej profińskie, zabraniał tego polskiej prasie. Zakazywano umieszczania komunikatów fińskich na pierwszym miejscu. Wówczas wpadł Mackiewicz na pomysł, by komunikaty radzieckie drukować *petitem*, zaś fińskie – zgodnie z poleceniem – na drugim miejscu, ale *tlustą czcionką*. Zabroniono i tego. Nie miała „Gazeta” prawa używania w tytułach przymiotnika „bohaterski” w odniesieniu do Finów. W roku 1940 zabroniono nazywać Wilno stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego inaczej niż w znaczeniu historycznym. Zabraniano również głoszenia idei politycznej restytucji Księstwa. Wykreślano takie rzeczy, jak na przykład wierszyk Bujnickiego o wiosnie, gdyż slogan „byle do wiosny” uznano za buntowniczy. Nie wolno było sprostować błędu korektorskiego z poprzedniego numeru, bo już posiadał placet cenzury. Zalecano jak najmniej używać słowa „śmietana”, gdyż mogło oznaczać kpiny z prezydenta Smetony. Niedopuszczalna była najbardziej nawet wyważona krytyka poczynań władz (choćby na temat planów urbanistycznego zagospodarowania miasta). Poza tym ustawa prasowa nie dopuszczała białych plam po cenzurze, a jednocześnie przewidywała tzw. „privalymas”, „obowiązek drukowania nadsyłanych urzędowych notatek lub całych artykułów. Artykuł mógł zawierać tezy wręcz sprzeczne z kierunkiem pisma. Mógł być też podpisany jakimś inicjałem, którego nie wolno było zmienić ani usunąć. Miejsce było również wskazywane z góry. Teoretycznie mógł to być np. wstępny artykuł, podpisany np. inicjałami naczelnego publicysty danego organu i zaprzeczać jego własnej linii politycznej (!) lub ją wyśmiewać. (...) Naturalnie, przeciętny czytelnik nie był o tym poinformowany, a raczej z reguły brał „privalymas” za istotny wyraz poglądu redakcji”. Czyniło to normalną pracę dziennika niemożliwą.

Wino – Góra Trzech Krzyży
© www.szukamypolski.com/gap

Wino – Góra Trzech Krzyży

© www.szukamypolski.com/gap

30 stycznia 1940 roku zgłosił się Mackiewicz do zastępcy pełnomocnika rządu litewskiego Antanasa Trimakasa. Skarżył się na ostrość cenzury, która nie pozwala pisać inaczej, aniżeli podają to oficjalne komunikaty. Oświadczył mu także, iż „cenzura spycha go do obozu polskiego nacjonalizmu, chociaż nie jest on nacjonalistą i nie chciałby nim zostać”. Na spotkaniu tym Mackiewicz – podający się jako gorący rzecznik współpracy polsko-litewskiej – zaprosił szereg „autorytatywnych osób” spośród Litwinów i Polaków do wypowiedzenia się na łamach „Gazety” na temat możliwości porozumienia się i współpracy, na co Trimakas sprzeciwu nie zgłosił, ale

zaznaczył, iż wypowiedzi te będą podlegały ogólnym rygorom cenzury. W tej sytuacji „dyskusja” nie miała sensu. W lutym 1940 delegacja polska spotkała się z prezydentem Smetoną. W rozmowie nawiązywał on do idei krajowców – wielkiej, historycznej Litwy (z Grodnem, Nowogródkiem i innymi ziemiami), czy doszło jednak do jakichś konkretnych ustaleń czy propozycji, nie wiemy. Brak bowiem bliższych danych o treści i wynikach tego poufnego spotkania.

Na równi pochyłej

Polityka rządu kowieńskiego wobec Polaków nie nastrajała optymizmem. Od razu po zajęciu Wilna Litwini przystąpili do przyspieszonej lituanizacji. Zimą 1940 roku wprowadzono tzw. „ustawę paszportową”. Jej znaczenie tłumaczył Mackiewicz „na gorąco” w roku 1940 następująco: „Sprawa przedstawia się tak: wszyscy mieszkańcy Wileńszczyzny podpadają, biorąc z grubsza, pod trzy kategorie: 1) obywatele, to ci, którzy posiadli, ewentualnie posiadają, prawo do uzyskania praw obywatelskich państwa litewskiego. Ich sytuacja jest jasna. 2) Uchodźcy, to ci, którzy na skutek działań wojennych znaleźli się tu bądź przypadkiem, bądź też świadomie uchodzący przed zawieruchą. Ich sytuacja jest równie jasna, normowana przepisami państwa, które im gościny udziela, sytuacja wielokrotnie już mająca swój precedens w historii wojen. 3) Obcokrajowcy, to ci, którzy nie będąc uchodźcami, nie posiadają jednocześnie praw do uzyskania obywatelstwa. Sytuacja tych ostatnich o tyle nie wydaje się nam słusznie sprecyzowaną, gdyż zarządzeniem ustawy, pod pojęcie te podpada istotnie wielu przybyszów, obcych tej ziemi, ale jednocześnie liczba o wiele większa rdzennych mieszkańców Litwy historycznej, po prostu mówiąc ludzi tutejszych”.

Parę lat później, już bez obaw przed litewską cenzurą, na temat ten Mackiewicz napisał: „Szczytowym punktem tej [wewnętrznej; w stosunku do Polski] polityki była ustawa paszportowa, zimą 1940. Doprowadziła ona do takiego absurdu, że w Wilnie, ogłoszonym za stolicę państwa, znalazło się raptem 150 000 obcokrajowców na 200 000 mieszkańców! Człowiek urodzony poza granicami nakreślonej przez traktat moskiewski republiki litewskiej, np. w Smorgoniach, jako obcokrajowiec politycznie uciążliwy, posiadał w Wilnie prawa mniejsze, niż np. Francuz urodzony w Paryżu, ale przebywający na Litwie na prawach normalnego cudzoziemca”. I dodawał: „Fatalnym rezultatem tego rodzaju polityki było rozszczępienie i pokłócenie całej ludności w obliczu wspólnego wroga”. Wystarczy dodać, że zgodnie z zawartym przez władze Litwy i ZSRR porozumieniem, na terenie Litwy (i innych państw bałtyckich), znajdowały się radzieckie bazy wojskowe. Sprawa zajęcia tych terenów przez Stalina była kwestią miesięcy. Litwini natomiast, zamiast dążyć do scementowania różnych narodowości na podłożu antykomunistycznym, robili wszystko, aby do tego nie doszło.

„Gazeta” przeżywała swoje ciężkie dni. W początkach roku 1940 wlepiono jej karę za wyrzucenie inicjałów z narzuconego artykułu. Zawsze samowystarczalna, stanęła teraz przed widmem upadku. I niechybnie tak by się stało, gdyby nie finansowa pomoc hrabiego Michała Tyszkiewicza, który niejednokrotnie wspomagał pismo materialnie. Udało się przetrwać jeden kryzys, nie udało kolejnego. W maju 1940 roku na przedmieściu Wilna został skrytobójczo zamordowany litewski policjant. Po pogrzebie młodzież litewska i bojówki rozpoczęły w mieście pogrom Polaków. Następnego dnia

urząd prasowy zażądał potępienia zabójstwa policjanta na łamach „Gazety”. Mackiewicz wyraził na to zgodę tylko pod warunkiem, że „wolno będzie potępić fakt pogromu Polaków”. Szesnaście godzin później Rada Ministrów w Kownie odebrała mu prawo „wydawania jakichkolwiek druków na terenie Republiki Litewskiej”. I tu powstaje pewne zamieszanie. Sam bowiem Mackiewicz w roku 1947 napisał: „Początkowo pisałem memoriały do władz i walczyłem z cenzurą. W rezultacie w kwietniu 1940, decyzją rady ministrów w Kownie odebrano mi prawo redagowania czasopism na całym terytorium Republiki Litewskiej”.

Gdzie dwóch się bije...

Informację tę potwierdza Łossowski, podając nawet dokładną datę: 13 kwietnia 1940 roku. Różnica nie tylko w datach, ale i w zakazach: kwiecień to „zakaz redagowania”, maj – „zakaz wydawania”. Zatem: w kwietniu 1940 roku Mackiewicz przestaje być redaktorem naczelnym „Gazety Codziennej” (zostaje nim Romuald Węckowicz, zastępcą nadal jest Bujnicki), ale nadal występuje – wraz z Bolesławem Szyszkowskim – jako jej wydawca (aż do numeru 111 z 19 maja 1940 roku). Nadal też pisze. W końcu maja natomiast odebrano mu gazetę. Wysłał wówczas – dokładnie 31 maja – list do redakcji „Kurier Wileńskiego” z prośbą „o zamieszczenie następującej notatki: z dniem dzisiejszym ustępuję ze składu redakcyjnego „Gazety Codziennej”. Józef Mackiewicz”. Tak pożegnał się z „Gazetą”, pismem, które chciało doprowadzić do wskrzeszenia Wielkiego Księstwa Litewskiego, ściągając za to na siebie nienawiść nie tylko cenzury litewskiej, ale i w dużej mierze społeczeństwa polskiego zamieszkującego Wilno.

Jak potoczyłyby się losy „Gazety” bez Mackiewicza, nie wiadomo. W połowie czerwca, na tereny państw bałtyckich wkroczyły wojska sowieckie, w sierpniu była już Litwa jedną z republik radzieckich. „Tragedia tamtych dni – napisał później Mackiewicz – to błędna polityka litewska, która na mniejszą skalę dokonała tego, co Niemcy zrobili później na większą – mimowolnej popularyzacji bolszewików. To – z drugiej strony – stanowisko społeczeństwa polskiego, które zamiast naprawiać błąd litewski, jeszcze go pogłębiało angażując się politycznie w innym kierunku, niż tego wymagał zarówno rozum, jak interes obydwóch narodów. – Jeżeli mianem polityki określimy działania na przyszłość, musimy przyznać, że była ona wyjątkowo krótkowzroczna, gdyż ówczesna waśń polsko-litewska musiała się skończyć tak, jak się skończyła już 15 czerwca 1940, gdy armie czerwone ostatecznie przekroczyły granice i wspólny wróg ogarnął cały kraj”. Mackiewicz nie pracował już wówczas jako dziennikarz i do pracy tej przez cały okres okupacji radzieckiej nie powrócił.